A. WALEWSKI

MORDERCA

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE
EDM. ABOUT.



W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

Spis Sztuk, które w moim Składzie można nabyć.

Cacusia. Operetka w 1-ym akcie. Osób 5.......	50
Chłopiec Studokatowy, czyli zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem. Osób 11.	50
Cudowne Leki. Obrazek wiejski w 1 akcie ze śpiewami i tańcami. Osób 7.	50
Czuła Struna. Komedyo opera w 1-ym akcie. Osób 4.	50
Dziecko Miłości, utwór dramatyczny Osób 7...	50
Górą Pieśń, albo praca i sztuka. Obrazek ludowy w 4 aktach ze śpiewami tańcami. Osób 21..	50
Nad Wisłą. Krotochwila w 1-ym akcie ze śpiewami. Osób 6.	50
O Chlebie i Wodzie. Krotochwila w 1-ym akcie ze śpiewami. Osób 3.	50
Ostatnie dwa ruble. Farsa w 1-ym akcie. Osób 5. Cena	50
Piosnki Tyrolskie, czyli Skarb za kominem. Operetka w 1-ym akcie. Osób 4.	50
Przekleństwo Matki. Dramat w 3-ch aktach ze śpiewami. Osób 12.	50
Syn Wolności. Obrazek dramatyczny w 3-ch aktach, przez K. Vagera. Osób 23.	50
U przekupki. Krotochwila w 1-ym akcie Osób 5. .	50
Wściekły Student, albo Studenckie Figle. Krotochwila w 1-ym akcie. Osób 5.	25
Wyrodna Córka, czyli Przekleństwo Matki. Dramat w 3-ch aktach ze śpiewami. Osób 21 ..	50
Zosia Druhna. Monordam w jednym akcie ze śpiewami. Osób występuje 3.	50
Żydowskie Swaty. Obrazek dramatyczny ze śpiewami. Osób występuje 7.	50

MORDERCA

KOMEDYA W 1-m AKCIE EDM. ABOUT

przekład
A. Walewskiego.

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

OSOBY:

Eugenia Perard.
Alfred Ducamp, malarz.
Lecoincheux, prokurator.
Anielcia, pokojówka.
Jan, ogrodnik.
Brygadier Żandarmów.
Żandarmi.

(Rzecz dzieje się za naszych czasów w zamku wdowy Perard.)

(Scena przedstawia pawilon, znajdujący się na końcu parku otaczającego zamek pani Perard. Na prawo i lewo drzwi. Na prawo okno, przez które widać gałęzie drzewa orzechowego. Drzwi główne. Stare meble, jak również obrazy pastelowe, staroświecki lichtarz, porcelana, zasłonięte firanki itd. nadają mu cechę stylu rococo. Na środku stoi maleńki okrągły stoliczek. Na przodzie sceny na lewo sofka do spania i poduszka.)

SCENA I.

Alfred — później **Anielcia**.

(Alfred w sukniach podróżnych, pleidem pokryty śpi na sofie. Torebka podróżna otwarta leży na stoliku, obok sofki krzesło, na którem dwuramienny lichtarz z świecami do połowy wypalonemi. Otwarta książka leży na ziemi. Za podniesieniem zasłony muzyka gra jeszcze podczas tejże Alfred w śnie pogrążony budzi się kilka razy. Za sceną pukanie do drzwi.

Muzyka, która dotychczas grała pianissimo, kończy gwałtownym forte.)

Alfred (budzi się, siada przeciera oczy i ziewa. Pukanie do drzwi coraz silniejsze. Zrywa **się.)**

Ktoś puka! **(głośno.)** Kto tam?

Anielcia (za drzwiami głównemi.)

To ja, panie Roquet, Anielcia. Otwórz pan.

Alfred.

Aha! Anielcia. **(głośno)** Zaraz, moje dziecię, zaraz... **(Porządkuje niektóre rzeczy i czesze się przed małem zwierciadełkiem,)**

Anielcia jak wyżej.)

Otwórz pan. Mnie bardzo pilno.

Alfred.

Ha! niech i tak będzie, lecz w takim razie wybaczysz mojej cokolwiek zaniedbanej artystycznej czuprynie. **(Otwiera jej drzwi.)** Dzień dobry, mój aniołku.

SCENA II.

Alfred — Anielcia.

Anielcia (wchodzi z serwetą na ramieniu, trzymając w prawej ręce koszyk, w którym znajduje się śniadanie dla Alfreda, w lewej dzbanek z wodą.)

Dzień dobry, panie spioszku. Piękna historya! Trzy kwandranse na jedenastą. **(stawia wszystko na stoliku i otwiera okiennice. Dzień.)**

Alfred (czesząc się przed zwierciadłem.)

Widzisz, moje dziecię, w dzień nie wolno mi wyjść, dlatego w nocy używam wszelkich przyjemności poruszania się na tym bożym świecie. **(wyciąga się).** Djabelnie mi twardo na tej sofce.

Anielcia.

A któż temu winien? Sam pan chciałeś zdala od świata i ludzi mieszkać w tym pawilonie, a teraz narzekasz.

Alfred (z komiczną rzewnością.)

Nie — ja nie narzekam, ja się skarżę i chociażby serce mi pękło, narzekać nie będę. **(Macając się po żebrach.)** O mój ty aniołku, wdzięcznym ci będę do grobowej deski... Dzisiaj niedziela. Nieprawdaż? Oto masz pięć luidorów. **(daje jej pieniądze.)** Płacę ci moje komorne.

Anielcia (odbiera od niego pieniądze.) Niestety, ostatnie to pieniądze.

Alfred.

Jakto?

Anielcia.

Za dziesięć minut musisz się pan ztąd wyprowadzić.

Alfred.

Za dziesięć minut! To być nie może. Wyrzucasz mnie za drzwi?

Anielcia.

Żal mi pana serdecznie. **(bawiąc się pieniądzmi.)** Tak dobrego czynszownika i ze świecą nie znajdzie między ludźmi. Ale tak być musi. Ponieważ w zamku jest bardzo duszno, pani rozkazała mi dzisiaj w tym pawilonie nakryć do stołu. Tutaj jest chłodno, rzeka płynie pod oknami i dla tego teraz częściej w nim przybywać będzie. **(Sprzątając, stawia lichtarz na swoim miejscu, zamyka torebkę podróżną i składa pled.)**

Alfred.

Anielciu! Co słyszę. Pani tutaj przebywać będzie, a ty okrutna wypędzasz mnie! Niewdzięczna! Sądziłem, że pani twoja po śmierci męża nigdy już nie przestąpi progu tego przybytku starych gratów.

Anielcia (nakrywając stolik serwetą.) Nie przychodziła tutaj, bo żal serce jej ściskał, przypominając sobie nieboszczyka, jak pracował w tym pawilonie. Ale mój Boże, czas wszystko wyleczy i moja pani już teraz nie wspomina pana.

Alfred.

Nie wspomina. Właśnie dla tego zostanę tutaj.

Anielcia.

Panie Rovuet, przypomnij sobie, przyrzekłeś mi słowem honoru, że jak najskromniej wobec mnie zachowywać się będziesz i że w każdej chwili opuścisz to schronienie.

Alfred.

Ha! niech i tak będzie, opuszczę to lube schronienie... O droga istoto! nie zobaczę cię już więcej.

Anielcia.

Kogo? Mnie?

Alfred.

Nie ciebie, ale twoją czarującą chlebodawczynię. O mój Boże! Wczoraj po raz ostatni widziałem ją w kasztanowej alei, od chwili do chwili zatrzymywała się, patrząc temi cudownemi oczyma w błękitne niebo. Ta melancholja jej ócz napełnia duszę moją

niepojętą, tęsknotą w jej oczach to czar ukryty... O moja Anielciu! twoja pani jest bardzo — bardzo piękną!

Anielcia.

A tak — wszyscy mówią, że nam nic nie brakuje.

Alfred.

Patrząc na twoją panią chciałem rzucić się do nóg tej boskiej istocie...

Anielcia.

Jakto? Przez okno!

Alfred.

Tak, przez okno, chciałem uklęknąć przed nią i powiedzieć: „Pani!”

Anielcia.

Na miłość boską, odejdź pan od okna, gdyby Jan zobaczył...

Alfred.

Kto? ogrodnik?

Anielcia.

Mój narzeczony. On jest zazdrosny jak tygrys.

Alfred (odstępuje od okna.)

Co ty mówisz? Tygrys jest ogrodnikiem?

Anielcia.

Niech pan nie żartuje. Przed kilkoma dniami spostrzegł na ścieżce ślady pańskich butów i od tej chwili rozpowiada mi tylko o rabusiach złodziejach...

Alfred.

Bądź spokojną, moje dziecię, to co ztąd zabrać pragnę, ma tylko dla mnie nieocenioną wartość.

Anielcia.

Jan chodzi od wczoraj jakby mu piątej klepki brakowało, a na nieszczęście przyjechali żandarmi do nas i szukają w całej okolicy jakiegoś człowieka...

Alfred.

Niech sobie szukają—ja się ich nie lękam.

Anielcia.

Eeee... proszę pana... Kto tam wie? Cóż pana skłoniło ukrywać się w tym pawilonie. Kto sto franków płaci czynszu i śpi na takiej twardej sofie, to...

Alfred.

Ale powiadam ci szczebiotko, kocham — ubóstwiam twoją panię.

Anielcia.

A dla czego pan jej tego nie powie?

Alfred.

Dla czego... dla czego? Nie mam odwagi.

Anielcia (trwożliwie.)

A, mój Boże! to niech pan napisze oświadczenie i...

Alfred (przerywając jej.)

Słuszna uwaga. Napiszę, tak napiszę, ale to pytanie, czy ona mój list czytać będzie?

Anielcia.

Kto? nasza pani. To się rozumie, że będzie. Ona czyta różne książki. Książki i obrazy całe jej szczęście.

Alfred.

Co słyszę! obrazy?

Anielcia.

W zamku we wszystkich pokojach mamy rozmaite obrazy i obrazki. Powiadają, że to bardzo kosztowne smarowidła.

Alfred.

O tak. Moje przeczucia mnie nie zawiodły. Byłem pewny, że ta boska istota posiada duszę wzniosłą. To nie wioskowa gąska, to serce bijące dla sztuki.

Anielcia.

Nie dawno widziałam, jak rzewnemi łzami płakała przeczytawszy w dzienniku, że ten potwór Corbillon zamordował jakiegoś sławnego malarza w Paryżu.

Alfred.

Cóż to za malarz?

Anielcia.

Jakże się nazywał?... A tak, zamordował i to w bliskości naszego zamku. Od dwóch tygodni mówią tylko o tym tym... Eeee..., jakże się nazywał... aha... Ducamp!

Alfred (który przed chwilą oddalił się od niej, zwraca szybko głowę.)

Co takiego?

Anielcia.

Tak — Ducamp. Cała historya opisana w "Lyońskim Dzienniku". Mam go przy sobie... O, ja bardzo lubię czytać takie rzeczy w łóżku... potem śpię tak smacznie... (Pokazuje Alfredowi dziennik.)

Alfred.

"Dziennik Lloński". Pozwól. (Rozkłada dziennik.)

Anielcia (pokazuje ustęp o morderstwie.)

Patrz pan — tutaj.

Alfred (przegląda szybko ustęp, czyta i mruczy od chwili do chwili.)

Hmm... Morderstwo... okropne morderstwo. Hmm... hmm... Powszechne obürze-

nie... Hmm... (**Czyta głośno.**) "Nasz znakomity rodak Alfred Ducamp..." (**Mówi.**) A ba! "Nasz znakomity..." Cześć wam panowie. (**półgłosem**). "**Wszystkie** poszukiwania dotychczas bezowocowne, trupa odnaleść nie można..." (**Do siebie.**) Trupa! nie miły wyraz. (**Czyta jak wyżej.**) "Do tej chwili znaleziono tylko wiosenny surducik i kapelusz... (**głośno**) krwią zbroczony..." (**wesoło do siebie**). Ależ to olejna farba, moi panowie. Zaręczam słowem. (**Czyta jak wyżej.**) "Nie ulega wątpliwości, że Corbillon, który przed miesiącem uciekł z więzienia, jest zabójcą..." (**Do siebie.**) Biedny Corbillon, posądzają cię niesłusznie. (**Czyta.**) "Nasze władze są już na tropie mordercy..." (**Mówi.**) Jak zwykle. (**Czyta głośno z wrastającem zajęciem.**) "Wielbiciele i krewni Ducampa zebrali pozostałe arcydzieła naszego młodego, pełnego talentu rodaka-artysty... (**Z radością.**) "Wyprzedaż w tych dniach się odbędzie..." (**Do siebie.**) A! nareszcie! (**Czyta**). "Nie ulega wątpliwości, że prawdziwi przyjaciele sztuki całej Francyi i zagranicy rozkupią te drogocenne dzieła, ażeby wzbogacić swoje zbiory." — (**Oddając Anielci dziennik.**) Wiwat! Proszę o fanfarę! Niech żyje Corbillon!

Anielcia.

Cooo? Niech żyje Corbillon. Pan znasz tego rozbójnika?

Alfred.

Nie miałem zaszczytu poznać nieocenionego Corbillona, ale tego drugiego znam — jego ofiarę. (**Śpiewa**). Jego ofiarę... jego ofiarę. (**Tańczy z radości.**)

Anielcia.

Ten nieszczęśliwy był pańskim przyjacielem?

Alfred.

Moim jedynym, najlepszym przyjacielem. (**Nuci.**). Moim jedynym, najlepszym przyjacielem...

Anielcia.

Pan nie masz serca... Jak można śpiewać i tańczyć, dowiedziawszy się o śmierci swojego najlepszego przyjaciela?

Alfred.

Wiedz o tem naiwne dziecię, że śmierć dla nas artystów bywa bardzo często jutrzenką sławy. Ten biedny młodzieniec, którego śmierć tak bardzo cię wzrusza, był człowiekiem talentu, od lat dziesięciu malował nie złe

obrazki i pomimo to nie zyskał zasłużonej wziętości. Zarabiał bardzo mało, a długi jego wynosiły, że się tak wyrażę, okrągłą sumę dwudziestu pięciu tysięcy franków. Nagle Opatrzność zsyła mu tego nieocenionego Corbillona w postaci mordercy... Corbillon zabija Ducampa i w jednej chwili biedny Ducamp zostaje bogatym, sławnym artystą, cały świat opłakuje śmierć jego, dzienniki nazywają go "naszym Ducampem", a wyprzedaż jego obrazów uczyni go bogaczem.

Anielcia.

Na cóż mu się to przydać może, kiedy on już nie żyje?

Alfred.

Wielki artysta nie umiera nigdy.

Anielcia.

Nie umiera? A nasza pani tak serdecznie płakała, dowiedziawszy się o śmierci tego biedaka.

Alfred.

Płakała! Co słyszę? Płakała. Czy twoja pani znała tego malarza?

Anielcia.

Być może. — Dwa obrazy jego malowania wiszą w sypialni, zachwyca się niemi; powiada, że to śliczoty...

Alfred.

Śliczoty! O tak! muszę napisać do niej...

Anielcia (patrząc z zadziwieniem na jego poruszenia, do siebie.)

Zdaje mi się, że jemu piątej klepki brakuje.

Alfred pisze ołówkiem w notatce.)

Anielciu, zaklinam cię, nie mów teraz do mnie. **(Pisze, podczas gdy Anielcia sprząta w głębi).** "Pani! popełniłem wielką zbrodnię... łzy twoje prześladują mnie wszędzie... Zabiłem Alfreda Ducamp... lecz rozkażę mu zmartwychwstać, jeżeli to prawdą jest, że ta biedna istota wzbudziła w Tobie współczucie... Kocham Cię, Pani... szalenie... ubóstwiam... zaklinam, udziel mi chwilę rozmowy, a w oczach Twych odczytam przebaczenie... **Łaski**... Przebaczenia..."

Anielcia (niespokojnie.)

Cóż? napisałeś pan?

Alfred.

Zaraz, moja mała, tylko jeszcze dwa słówka, a potem położymy tę kartę pod serwetę

i... (Spostrzega na stoliku dwa nakrycia, które Anielcia przygotowała.) Co widzę! wielki Boże! Dwa nakrycia, czyżbym ja miał z twoją panią spożywać ten dar boży? (Bierze talerz do ręki.)

Anielcia.

To jest nakrycie dla pana Lecoincheux.

Alfred.

Co? jak? Leco...

Anielcia.

Dla pana Lecoincheux, prokuratora naszego okręgu. — Moja pani, jak żałoba minie, idzie za niego.

Alfred (upuszcza talerz.)

Ah!

Anielcia.

A mój Boże! co pan wyrabiasz! (Zbiera skorupy) A mój Boże!

Alfred.

Wielkie nieszczęście — takie stare talerysko... Oddaje mu swoją rękę... Bądźcie zdrowe moje marzenia, moje sny złote... (Wydziera dwie kartki, na których pisał, jedna upada na ziemię, a drugą zgniecioną chowa do kieszeni.)

Anielcia.

Co się panu stało?

Alfred.

Nic.

Anielcia.

Pan prokurator tak pana rozgniewał?

Alfred.

Nie. — Do widzenia, Anielciu!

Anielcia (przy oknie.) ..

Patrz pan, oto idzie właśnie aleją ogrodową.

Alfred.

A... widzę — ten z żandarmem... Piękna lala. Uosobiona sprawiedliwość w białym krawacie. Ten prokurator odbierze mi życie...

Anielcia (na stronie.)

Biedny chłopiec...

Alfred.

Bądź zdrowa Anielciu! (otwiera drzwi główne.)

Anielcia (z przestrachem.)

Nie tędy. Gdyby pana zobaczył!...

Alfred.

Cóż tak strasznego?

Anielcia.

Niech Bóg uchowa!... Moja dobra reputacya przepadłaby na wieki, a moja pani oddaliłaby mnie ze służby... Mój drogi panie Roquet?...

Alfred (zdziwiony.)

Roquet?... Aha, prawda, zapomniałem... A więc któremi drzwiami ma wyjść pan Filip Roquet?

Anielcia (wskazuje drzwi na prawo.)

Temi małemi schodami.

Alfred (chce odejść.)

Anielciu, jeszcze jedna prośba — powiedz twojej pani...

Anielcia (zbliża się szybko do niego.)

Co takiego?

Alfred.

Powiedz: żegnam cię aniele! **(Całuje Anielcię i odchodzi śpiesznie.)**

Anielcia.

Dobrze. — Panie Roquet, pańskie rzeczy! **(Rzuca za nim pled, torebkę podróżną i inne przedmioty do pokoju, potem idzie naprzód sceny.)** Biedny człowiek! Pocałował mnie tak przyjemnie, tak silnie, że teraz dopiero czuję, jak bardzo kocha naszą panią.

SCENA III.

Anielcia — Jan — Lecoincheux — Brygadier.

Jan (do Lecoincheux.)

Pani prosiła, ażeby pan prokurator zatrzymał się chwilę w tym pawilonie.

Lecoincheux (lat czterdzieści, ubranie ciemne, ruchy poważne, całe zachowanie się jego cechuje człowieka dobrze wychowanego.)

Dobrze. **(do Brygadiera.)** Panie Brygadierze, czy poszukiwania twoje są oparte na pewnych podstawach?

Brygadier.

Tak panie prokuratorze.

Lecoincheux.

A więc widziano Corbillona w pobliżu tego zamku?

Brygadier.

Tak panie Prokuratorze.

Lecoincheux.

Rysopis mordercy jest w twoich rękach?

Brygadier.

Posiadamy nawet dwa. **(Podaje mu papiery.)**

Lecoincheux.

Hmm!... (Czyta.) "Wzrostu: wielkiego — lat: pięćdziesiąt — włosy: jasne — czoło: niskie — usta: wielkie — nos: duży — szczególne znaki: zezowaty." (Mówi.) Jakże ten drugi rysopis jego opiewa. (Czyta z drugiego papieru.) "Wzrostu: małego — lat dwadzieścia cztery — włosy: ciemno-kędzierzawe — czoło: wysokie — usta: małe — nos: płaski i mały — szczególne znaki: nie ma żadnych." (Mówi.) A tak, ci hultaje umieją się znakomicie przekształcać. Jeżeli tylko pańskie poszukiwania są na pewnych podstawach zrobione, to te dwa rysopisy nie wywiodą nas w pole. Czy ludzie twoi są dobrze rozdzieleni?

Brygadier.

Jak się należy, panie prokuratorze.

Lecoincheux.

Proszę im wydać rozkaz, żeby najmniejszy ślad mordercy wystrzałem karabinowym sygnalizować.

Brygadier.

Podług rozkazu.

Lecoincheux.

Pańskie poszukiwania wskazują, że złoczyńca ma tutaj w pobliżu swoich wspólników, ergo, służba zamkowa powinna być pod ścisłym dozorem twoich żołnierzy.

Brygadier.

Podług rozkazu.

Lecoincheux (tajemniczo.)

Pst! (Przysłuje się Janowi i Anieli, patrząc badawczo na ich ożywioną rozmowę.)

Jan (półgłosem.)

Koszałki opałki pleciesz, moja Anielciu. Sprawę trzeba wyjaśnić. Na wszystkich ścieżkach w ogrodzie widziałem ślady tego człowieka.

Anielcia (cicho.)

Milcz, głuptasiu, potem ci odkryję całą tajemnicę.

Jan.

Odkryjesz? pamiętaj! Nie w ciemię mnie bito, ja zaraz spostrzegłem, że to jakaś straszna tajemnica.

Lecoincheux (poważnie.)

Anielciu, proszę mi odkryć tę tajemnicę.

Anielcia.

Proszę pana, to nic... (Do Jana.) Powiedże panu, że to głupstwo...

Jan.

A niby.... Mnie się zdaje, że to drobnostka — a może to i nie jest głupstwo...

Lecoincheux (jak wyżej.)

Cóż takiego? Słucham.

Jan.

Oto proszę pana...

Anielcia (przerywając.)

Pan Jan, mój narzeczony, jest bardzo zazdrosny...

Lecoincheux.

O kogo?

Jan (na stronie.)

W tem sęk właśnie, że nie znam tego ptaszka.

Anielcia.

Janie, powiedzieć panu prokuratorowi?

Jan.

A dobrze, powiedz.

Anielcia.

Oto proszę pana, ja powiedziałam, że pan Brygadier jest bardzo przystojny mężczyzna. **(Brygadier uradowany, podkręca wąsa strojąc koperczaki do Anielci za plecami prokuratora.)** Oto cała tajemnica.— Cóż, może nie prawda, głuptasiu?

Jan.

Co?... a tak... prawda... Masz słuszność **(Cicho do Anielci.)** Dobrze, dobrze, pomówimy jeszcze o tem, moja panienko.

Lecoincheux (kiwając głową niedowierzająco)

Hm, hm... **(Do Brygadiera półgłosem.)** Panie Brygadierze, jak sądzisz, czy ta dziewczyna mówi prawdę?

Brygadier (podkręcając wąsa.)

Świętą prawdę, panie prokuratorze.

Lecoincheux.

Zachowanie się tych dwojga ludzi wzbudza we mnie pewne podejrzenie. Czuwaj nad wszystkiemi ludźmi, Brygadierze, że się tak wyrażę nad całym światem, **(bardzo cicho)**, a przedwszyskiem oddaję ci w opiekę tę małą dziewczynę, czuwaj nad nią z jak największą troskliwością.

Brygadier (patrząc czule i z umizgiem na Anielcię.)

Z największą... Podług rozkazu, panie prokuratorze.

Lecoincheux (idzie naprzód sceny zadowolony do siebie.)

Jesteśmy już na tropie mordercy. Poszlaki coraz silniejsze. Jeżeli mi się uda tego niebezpiecznego złoczyńcę schwytać, kto wie, czy nie zostanę nadprokuratorem. Tym razem mój paniczu, nie ma dla ciebie litości; dożywotnie roboty to za mała kara, głową odpowiesz za twoje czyny. Nie ma dla ciebie miłosierdzia, nie ma łaski.

SCENA IV.

Anielcia—Jan—Lecoincheux — Pani Perard.

Pani Perard (wchodzi głównemi drzwiami.)

Dzień dobry, mój przyjacielu. Przebacz że tak...

Lecoincheux (roztargniony.)

Nie ma łaski — nie ma przebaczenia. Na szafot!...

Pani Perard (z uśmiechem.)

Co słyszę? A więc za to, że spóźniłam się o pięć minut, oddajesz moją głowę pod miecz kata?

Lecoincheux (miarkując się.)

A mój Boże... wybacz mi pani, ale...

Pani Perard (siada, wskazując miejsce prokuratorowi.)

Biedny prokuratorze, ty wkrótce staniesz się chodzącym kodeksem karnym. Wielkie szczęście, że nie przemówiłeś do mnie, jak do oskarżonej.

Lecoincheux.

Wybacz pani, ale bardzo ważna sprawa zaprząta obecnie całe moje jestestwo. Sprawy obchodzące ludzkość, spoczywają na... **(Ogląda się niespokojnie w około pawilonu.)**

Pani Perard.

Niech sobie spoczywają. Zapomnij o nich gdy jesteś w moim domu.

Lecoincheux.

Ze skruchą wyznaję, że moje uczucia dla ciebie po jednej, a moje obowiązki państwowe po drugiej stronie wywołują czasem katastrofę. Sądzę jednak, że okoliczności łagodzące skłonią wysoki sąd... **(poprawiając się)** to jest... chciałem powiedzieć... twoje serce... **(wstaje.)** twoje serce, pani...

Pani Perard (śmiejąc się.)

Wybornie. Oto jest człowiek, który po ukończeniu mojej żałoby pragnie mnie zaślubić. Zapewnienia twojego szacunku i miłości dla mnie, to dwulicowy posąg Janusa. Na jednem obliczu promienieje szacunek i

miłość, a drugie grozi potępieniem i karą winowajcom.

Lecoincheux (z uczuciem.)

Przysięgam ci pani, że najpiękniejszem dniem w mojem życiu będzie ten, w którem poprowadzę cię na stopnie szafotu... na stopnie ołtarza. **(Mówiąc te słowa, przechadza się po pokoju rostargniony, badając szpiegując otaczające go osoby i przedmioty.)**

Pani Perard.

Co się panu stało? Jesteś tak roztargnionym, niespokojnym. Czego szukasz?

Lecoincheux.

Ten pawilon wywołuje we mnie urocze wspomnienia niedawno minionej wesołości.

Pani Perard.

Rzeczywiście. Tutaj zostałeś nam pan po raz pierwszy przedstawionym.

Lecoincheux.

Chwila ta na całe życie pamiętną mi będzie. **(Otwiera drzwi na lewo.)** Przypominam sobie ten pokoik... Okno wychodzące na rzekę... dwadzieścia stóp wysokości... silny prąd wody... a tutaj... **(Otwiera drzwi na lewo.)** Co widzę! Drzwi są otwarte? — zawsze były zamknięte...

Pani Perard.

Niezawodnie Anielcia je otworzyła.

Lecoincheux.

Pani sądzi, że to Anielcia? **(Po cichu z zaufaniem.)** Czy dziewczyna ta zasługuje na zaufanie?

Pani Perard.

Zupełnie oddana mi duszą i ciałem.

Lecoincheux (zamyka drzwi, chowając klucz do kieszeni.)

Zobaczymy. **(Idzie do okna.)** A to okno? Czy wiesz pani, że z tego drzewa można się dostać do pawilonu?

Pani Perard.

Być może, lecz z narażeniem własnego życia.

Lecoincheux.

Dla takich ludzi nie ma przeszkód w raz obranem przedsięwzięciu i tylko miecz kata kładzie tamę ich zbrodniczym zamiarom.

Pani Perard.

Co słyszę, a więc oddajesz nawet zakochanych mieczowi kata?

Lecoincheux (zdziwiony.)

Zakochanych? — Nie mówię łaskawa pani o zakochanych, lecz o zbrodniarzach.

Pani Perard.

Wybacz, prokuratorze, ale masz chwile, w których pojęcia o jednych i drugich są u ciebie jednakowe.

Anielcia (podczas rozmowy rozmawiała z Janem, a później nakrywała do śniadania, mówi.)

Wielmożna pani, już nakryte.

Pani Perard. (do prokuratora, który puka laską po ścianach, zagląda do kominka itd.)

Panie roztargniony, proszę do stołu.

Lecoincheux.

Słuszna uwaga potrzeba jeść, ażeby praca nasza przyniosła pożytek ludzkości. Na czczo jest to niemożliwością, czuję w tej chwili najdokładniej. **(siada.)**

Pani Perard.

Proszę, może skrzydełko kuropatwy?

Lecoincheux.

Dziękuję, bardzo dziękuję. **(Anielcia podaje mu półmisek z kuropatwą.)** To szczególne... Ręka tej dziewczyny tak drży!...

Pani Perard. (półgłosem.)

Anielciu!

Anielcia (opiera się o krzesło.)

Słucham.

Pani Perard.

Czy kuropatwy są świeże?

Anielcia.

Świeżuteńkie. Roman zastrzelił je w niedzielę.

Lecoincheux (nie dosłyszawszy dobrze.)

Zastrzelił! kto? co? jak? gdzie?

Pani Perard.

Mój leśny Roman.

Lecoincheux.

Zastrzelony!

Pani Perard.

Ależ na miłość Boga, Roman zastrzelił te kuropatwy, a pan zapominasz mi powiedzieć, czy są dobre?

Lecoincheux.

Wybacz pani, lecz silne poszlaki niepospolitej natury tak przemawiają do mnie, że...

Pani Perard (przerywając.)

Kochany prokuratorze, sprawy urzędowe są mi obojętne, dla tego proszę cię, zapomnij o nich w tej chwili.

Lecoincheux.

Za pozwoleniem, łaskawa pani. Bystre oko prokuratora w najmniejszej drobnostce odkrywa poszlaki, najmniej uwagi godny

przedmiot staje się dla niego corpus delicti. Ten śrut w kuropatwie, ten kawałeczek chleba, ta kropla wina zabarwiająca nakrycie, może oddać przestępcę mieczowi kata, taki świstek papieru (**patrząc się na zgniecioną kartkę** wydartą z notatki Alfreda i rzuconą przez niego na ziemię.) jak o to ten, wystarczy ażeby... (**Podnosi ją, czyta początkowo obojętnie, później ze wzrastającem zajęciem, po przeczytaniu zrywa się i biegnie naprzód sceny.**) Co to ma znaczyć!? (**Z radością.**) Zeznanie! zeznanie napisane własną ręką mordercy. O Opatrzności, ty czuwasz nademną! (**Do siebie.**) Za pomocą tego świstka papieru zostanę nadprokuratorem. (**czyta półgłosem.**) "Popełniłem wielką zbrodnię..." (**Mówi.**) Wiemy już o tem mój dobrodzieju. (**Czyta.**) "Zamordowałem Alfreda Ducamp, ale..." (**Mówi.**) Tu nie ma żadnego ale — zamordowałeś, a więc życie twoje oddasz katowi (**czyta.**) "Kocham cię, pani... (**mówi.**) A co? nie mówiłem? kobieta, jak zwykle, odgrywa tu główną rolę. (**Czyta.**) "Łaski... przebaczenia..." (**Mówi.**) Aha, łaski... To już do mnie należy. (**Głośno do Anielci**). Proszę mi dać drugą połowę...

Anielcia.

Kuropatwy?

Lecoincheux.

Tego listu z podpisem.

Pani Perard (wesoło.)

Czy znalazłeś jakie corpus delicti?

Lecoincheux.

Tak jest, droga pani, corpus delicti obwiniający twój dom nadzwyczaj wymownie.

Pani Perard (poważnie.)

Mój dom? Wytłomacz się pan.

Lecoincheux.

Jeden z największych morderców ukrywa się w twoim domu pani.

Pani Perard.

Zbrodniarz? u mnie? Żartujesz prokuratorze.

Lecoincheux.

Jeżeli nie w twoich pokojach, to prawdopodobnie Anielcia dała mu przytułek.

Anielcia.

Ja? Panie prokuratorze, proszę mnie nie posądzać...

Lecoincheux.

Ten corpus delicti upewnia mnie stanowczo, że morderca znajduje się tutaj.

Pani Perard. (wstaje obrażona.)

Panie prokuratorze, przychodzisz do mnie nie jako starający się o moją rękę, lecz jako sędzia śledczy. Dla wielu dobrych przymiotów twojego charakteru zezwalałam dotychczas na to, lecz od tej chwili proszę bardzo nie przemawiać w ten sposób, gdyż ubliża to mnie i mojemu otoczeniu. Twoja fantazja w sprawach sądowych rzuca podejrzenie na mnie i na mój dom. Tego już za wiele. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pożegnać cię, kochany panie. Szukaj, szpieguj, badaj jak wiele ci się podoba, a jeżeli gorączka minie, przyjdź do alei ogrodowej, a tam stwierdzisz tożsamość mojej osoby. **(Odchodzi z książką w ręku.)**

Lecoincheux (idąc za nią.)

Zaklinam cię pani, jest to chwila wielkiej doniosłości. (Odchodzi.)

SCENA V.

Jan — Anielcia.

Jan.

A teraz powiedz, gdzie się ten łotr ukrywa? — Skórę z niego ściągnę.

Anielcia.

Otóż słuchaj, głuptasiu. Tutaj jest ukryty mężczyzna, ale...

Jan.

Ale...

Anielcia.

On jest zakochany w naszej pani.

Jan.

W naszej pani?

Anielcia.

Jak mi Bóg miły.

Jan.

Jakim sposobem dostał się do naszego domu?

Anielcia.

Zaraz ci wytłomaczę... otóż dwa tygodnie temu...

Pani Perard. (za sceną.)

Nie, mój panie, nie ma przebaczenia.

Anielcia.

A, pani! Później ci powiem.

Jan.

Nie, — ja chcę teraz. Powiedz albo cię...

Anielcia.

Niewierny Tomaszu, idź do twego pokoju, a przekonasz się, że mówię prawdę.

Jan.

Jakto! tutaj?

Anielcia.

Idźże, idź głuptasiu. Pani już idzie. (**Wypycha go do pokoju na lewo i zamyka drzwi**).

SCENA VI.

Anielcia — Pani Perard.

Pani Perard (jeszcze za sceną.)

Nie ma przebaczenia, to będzie karą dla pana. (**Głośno, postępując naprzód sceny**). To dziwak ten prokurator.

Anielcia.

I zazdrosny proszę pani.

Pani Perard.

Pan Lecoincheux zazdrosny! O kogo?

Anielcia.

O tego młodego człowieka, który już od dwóch tygodni błąka się w zamku.

Pani Perard.

Młody człowiek?

Anielcia.

Tak, proszę pani, młody, przystojny, bardzo miły brunecik.

Pani Perard (wesoło.)

Jeżeli się nie mylę, przypominam sobie, widziałam jakiegość gapiącego się na mnie młodego człowieka podczas ostatniej przejażdżki... Kilka dni temu biegł nawet za moim powozem, a wczoraj ośmielił się rzucić mi ten bukiecik. (**Wskazuje na mały bukiecik przypięty do sukni.**)

Anielcia.

Pani daruje, że jestem tak śmiałą, ale całe szczęście tego biedaka w moich rękach spoczywa. Czy podobał się pani ten młodzieniec?

Pani Perard.

Szczerze mówiąc, bawią mnie hołdy jego. Z taką dobrodusznością i naiwnością je okazuje, że mimowoli... Lecz cóż wspólnego ma zazdrość pana Lecoincheux z tym tajemniczym wielbicielem?

Anielcia (na stronie.)

Niech się dzieje wola Boża, wyspowiadam się ze wszystkiego. (**głośno.**) Otóż... pani łaskawa była zawsze dla mnie tak dobrą, że wyznaję szczerze, nadużyłam tej dobroci... Mój Boże, cóż miałam uczynić? on

tak był nieszczęśliwym, tak smutnym i tak... zakochanym w pani, że litując się nad nim, pozwoliłam mu parzeć się przez to okno na panią... To bardzo miły, przystojny i skromny młodzieniec.

Pani Perard.

I cóż się stało?

Anielcia.

Otóż nie miałam siły oprzeć się jego prośbom i... wynajęłam mu ten pustką stojący pawilon, ale przysięgam pani, tylko na dwa dni, (bardzo cicho.) a... a... on mieszkał tu trzy tygodnie...

Pani Perard.

Na miłość Boską, co uczyniłaś! Czy wiesz, jakie mogą być następstwa twojej lekkomyślności. Pan Lecoincheux stara się o moją rękę. Co on sobie pomyśli?

Anielcia.

Kiedy już pani taka dobra, to powiem prawdę. Ten pan Roquet lepiej mi się podoba, młodszy, piękniejszy, a taki przyjemny— o bardzo przyjemny. Mnie się zdaje, że on jest artystą.

Pani Perard.

Artystą!?

Anielcia.

A tak, bo mówił ze mną o takich rzeczach, których ja nic a nic nie rozumię. Powiedział, że pani jest jego "drogą istotą", że pani ma jakiś "czar ukryty".

Pani Perard.

Dobrze... dobrze... Idź powiedz temu panu, ażeby się natychmiast oddalił z mojego domu. Rozumiesz?

Anielcia.

Rozumiem.

Pani Perard.

Ciebie zaś oddalę ze służby.

Anielcia (płacze.)

Pani mnie oddala?!

Pani Perard.

Zrozumiałaś? Idź sobie. Powiedz temu panu... panu... jakże się nazywa?

Anielcia jak wyżej.)

Filip Roquet.

Pani Perard.

Odszukaj pana Roquet i... czyń, co rozkazałam.

Anielcia (płacząc rzewnie.)

Idę... już idę... ale jeżeli mnie pani oddalisz ze służby, to... wskoczę do rzeki w najgłębsze miejsce i utopię się... na śmierć...

SCENA VII.

Pani Perard — **Jan** ukryty — później **Alfred**.

Pani Perard (sama.)

Nierozsądna, lekkomyślna dziewczyna... Jeżeli świat o tem się dowie, wyda wyrok potępienia na moją dobrą sławę... O tak, opinja naszego towarzystwa nawet w tak niewinnych wypadkach jest nieubłaganą. Czujne jej oko pozwala nam tylko na skwarnej, wymuskanej drodze życia się przechadzać, wymaga od nas doskonałości, jak największej doskonałości, a jeżeli przypadkiem z jednej lub z drugiej strony dróżyna prowadząca w ciche, cieniste ustronie nęci nas swoją prostotą, urokiem, wówczas milcz serce, bo towarzystwo convenans nie zezwala na to. **Z westchnieniem.)** A jednak być może, że prawdziwie kochające serce tam się ukrywa. **(Opiera się o krzesło w zadumaniu.)**

Jan (otwiera drzwi na lewo, do siebie.)

Słyszałem wszystko, Anielcia jest niewinną. **(Skrada się po cichu do wyjścia.)**

Alfred (ukazuje się w drzwiach głównych, półgłosem do siebie.)

Teraz lub nigdy.

Jan (spostrzega Alfreda.)

A do djabła! To on. **(Ucieka napowrót do pokoju na lewo.)**

(Słychać strzał za sceną.)

Pani Perard (przerażona upada na sofę.)

Ah!

Alfred (biegnie do pani Perard. Ona mdleje. Bierze panią Perard za rękę.)

Wybacz pani. Popełniłem wielką zbrodnię, ukryty w tym pokoju od pół godziny, **(pokazuje na prawo)** słyszałem rozmowę pani z pokojówką... Błagam, żebrzę na kolanach o przebaczenie! **(Uklęka przed nią.)**

Pani Perard (ochłonąwszy z przestrachu).

Ah, mój Boże jakże się przestraszyłam... **(Spostrzega Alfreda.)** A! pan tutaj?! Ah! **(Mdleje powtórnie.)**

Alfred.

Nie lękaj się pani — w czystych, niewinnych zamiarach tu przychodzę...

Pani Perard (przychodząc do siebie.)

Czy jesteś pan ranionym?

Alfred (kładąc rękę na sercu.)

W samo serce.

Pani Perard.

Szalona!... sądziłam, że strzał ten... (Podnosi się.)

Alfred.

Zaklinam cię pani, nie wstawaj! Ach! cudownie! bosko!... Te linje faliste... ten rysunek... słowem cała postać jest godną w tej chwili ręki Fidjasza.

Pani Perard (powstaje.)

Proszę mi powiedzieć jakiem prawem...

Alfred.

Przyszedłem tutaj? O mój Boże! pani mnie pytasz? Wszak Anielcia przed chwilą była wiernym tłomaczem mojego przybycia, no... i... pan prokurator zamknął mnie w tym pokoju...

Pani Perard.

Jesteś pan obecnie wolnym i możesz... (Wskazuje mu drzwi.)

Alfred.

Wolnym! Ja? O nie pani! Jestem więźniem skazanym na całe życie! (Na stronie) Opatrzności, która czuwasz nademną, nie opuszczaj mnie w tej tak ważnej chwili. (Głośno.) Pani widziałem cię wczoraj przechadzającą się w alei kasztanowej, byłaś samą; nie wiem dla czego, ale jakaś niepojęta trwoga wstrzymywała mnie rzucić się do nóg twoich i wyznać ci wszystko; dzisiaj jednak duch mój nabiera odwagi, otoczony rywalami, ścigany przez żandarmów, patrzę odważnie niebezpieczeństwu w oczy — i słowa, które wczoraj umierały na ustach, wypowiadam śmiało: — kocham cię pani!... (Uklęka przed nią, na znak pani Perard wstaje.)

Pani Perard (poważnie.)

Na miłość Boską, co czynisz? Postępowanie twoje jest podziwienia godne. Nieznany mnie ani ja tobie, wpadasz jak meteor i wyznajesz twoją miłość. Może będziesz tak dobrym i powiesz mi swoje nazwisko?

Alfred.

Moje nazwisko!... Ah! nazywam się... ależ to drobnostka. Wobec ciebie, droga pani, jestem nic nieznaczącym, mizernym utworem natury. Jestem... przypadkiem... wypadkiem... czemś nieprzewidzianem — krótko mówiąc, mam lat trzydzieści, mało pieniędzy, wielką przyszłość skromne wymagania i serce bogate w najpiękniejsze dary, tak bogate, że z rozkoszą oddam ci pani skarbów moich połowę.

Pani Perard.

Mój panie, sądzę, że zachowanie się twoje w moim domu daje ci również dostateczną rękojmię mojej dobroci serca. Mieszkam wprawdzie na prowincyi, lecz zapewniam cię, że nie jestem tak naiwną, ażeby średniowieczna romantyczność twoja zamąciła spokój mej duszy, a wreszcie nie jestem wolną i...

Alfred (przerywając.)

Błagam cię pani, nie wspominaj o tem.

Pani Perard.

Oddaję moją rękę człowiekowi, który ze wszech miar zasługuje na szacunek.

Alfred (śmiejąc się.)

Temu Lecoincheux! ha! ha!

Pani Perard.

Pan powiedziałeś: "Temu Lecoincheux" — nieprawdaż? Takie jest moje życzenie i sądzę, że poskromiwszy swą próżność, pozwolisz mi działać na własną rękę.

Alferd (z wybuchem.)

O, nie, droga pani! Jest coś w mej duszy co przeczy twym słowom, ono mi szepcze, że szacunek i miłość moja znalazły cichy oddźwięk w twem sercu. Jakto? pani posiadając duszę tak wzniosłą, tak szlachetną, oddajesz rękę panu Lecoincheux i sądzisz, że będziesz szczęśliwą? Nie lękasz się pani strasznej przyszłości?

Pani Perard.

Nie — lecz twoja obecność tutaj, mój panie, wzbudza we mnie wielką obawę, twój lekkomyślny postępek może mnie zgubić w oczach świata, dla tego proszę, oddal się, gdyby cię spostrzeżono u mnie...

Lecoincherux (za sceną wydaje rozkaz.)

Panie Brygadierze, czuwaj pod temi drzwiami i nie oddalaj się ani na chwilę.

Pani Perard (z wielkim przestrachem.)

A mój Boże! czyż nie mówłam? Uciekaj! zaklinam cię! **Biegnie do drzwi środkowych i zamyka je.)**

Alfred (całuje jej rękę, z uczuciem.)

A więc — do widzenia, żegnam cię pani! **(Spostrzega swój bukiecik przy jej sukni.)** Co widzę! moje kwiaty! Pani je nosisz! O! dziękuję!

(Pani Perard oddaje mu **bukiecik.)**

Alfred.

O, nie, zatrzymaj go pani — na pamiątkę. Żegnam cię pani. **(Idzie na prawo.)**

Pani Perard.

Te drzwi zamknięte.

Alfred.

A więc przez okno.

Pani Perard (wzruszona wstrzymuje go.)

Nie! nie pozwalam.— Mógłbyś pan swoją lekkomyślność życiem przypłacić!

Alfred (całuje z uczuciem jej rękę.)

Mniejsza o to — tobie poświęcę je z rozkoszą.

(Słychać pukanie do głównych drzwi.)

Pani Perard.

Ah! **(Wskazując na lewo).** Wejdź tutaj. **(Alfred się waha.)** Ja rozkazuję! **(Czulej).** Proszę...

Alfred (zbliża się do niej, dotyka jej włosów i ze słowami.)

Żegnam cię pani! **(wybiega na lewo.)**

(Pani Perard zamyka drzwi, klucz chowa do kieszonki i postępuje naprzód sceny z ręką na sercu. W głębokiem wzruszeniu patrzy w stronę, gdzie Alfred odszedł.)

(UWAGA: — Od tej chwili rozmowa pani Perard z panem Lecoincheux jest nadzwyczaj żywą. Rozmawiają namiętnie, półgłosem, lecz wyraźnie. Pani Perard musi należycie uwydatnić współczucie i zajęcie się Alfredem)

SCENA VIII.

Pani Perard — Lecoincheux.

(Słychać powtórne pukanie do drzwi głównych.)

Lecoincheux (za sceną.)

W imieniu prawa, proszę otworzyć!

Pani Perard.

A! prokurator! **(Otwiera drzwi główne.)** W imię przyjaźni otwieram. Na miłość Boga!

pańska zazdrość staje się dla mnie bardzo przykrą.

Lecoincheux (wchodzi.)

Wybacz pani, ale sprawy obchodzące całą ludzkość... **(Patrząc na lewo.)** Nie ma klucza. — Tam jest ukryty!

Pani Perard (siada i czyta dziennik.)

Siadaj prokuratorze — jesteś dzisiaj tak niespokojnym...

Lecoincheux.

Pani czytasz?

Pani Perard.

Tak jest.

Lecoincheux.

Niezawodnie coś bardzo zajmującego.

Pani Perard.

Sprawozdanie z posiedzenia akademii sztuk pięknych.

Lecoincheux.

Sztuki pięne tak cię zajęły, że widocznie nie usłyszałaś pani wystrzału karabinowego, który na sto metrów oddalenia, padł pod twojemi oknami?

Pani Perard.

Cóż w tem dziwnego — rozpoczęto polowanie.

Lecoincheux.

Łaskawa pani, polowanie na drapieżne zwierzęta w każdej chwili i na każdem miejscu jest dozwolone.

Pani Perard.

Tak sądzisz prokuratorze?

Lecoincheux.

Nawet w twojej sypialni, droga pani.

Pani Perard (swobodnie.)

Żarty nie na miejscu. Pazwalam ci być zazdrosnym, lecz pamiętaj **(poważnie)** że nie należymy jeszcze do siebie.

Lecoincheux.

Jest to chwila, w której zazdrość i ślub nasz nie wchodzą w rachubę, jest to chwila, w której nie Lecoincheux, lecz prokurator państwa żąda od ciebie pani klucza od tych drzwi.

Pani Perard (z godnością.)

Otóż z tej właśnie przyczyny nie wydam klucza.

Lecoincheux.

Pani wykraczasz przeciw artykułowi 641 prawa karnego.

Pani Perard.

Pan zaś wykraczasz przeciwko wszystkim artykułom dobrego wychowania.

Lecoincheux.

Pani, w tym pokoju jest ukryty mężczyzna, mój obowiązek i prawo pozwala mi...

Pani Perard.

Kochany panie, przypomnij sobie, że dopiero w październiku mam zostać żoną twoją obecnie lipiec — a zatem prawa twoje i obowiązki o trzy miesiące idą zawcześnie, bądź tak dobrym zastosować się do mojej rachuby czasu.

Lecoincheux.

Łaskawa pani, nie jest chwila żartów.

Pani Perard (z postanowieniem).

A więc niech i tak będzie. Żart na stronę. Tak jest. Tam jest ukryty młody człowiek... Czego pan żądasz od niego?

Lecoincheux (poważnie.)

Jego głowy.

Pani Perard (śmiejąc się.)

Taką drobnostkę... nic więcej? **(Poważnie.)** Uspokój się, mój drogi przyjacielu, ten biedny człowiek jest tak niewinnym, jak i ty prokuratorze. On kocha. Czyż z tej przyczyny rzucasz na niego potępieniem.

Lecoincheux (dzwoni.)

A, tego już zawiele!

Pani Perard.

Co czynisz?

Lecoincheux.

Czynność wyłamywania drzwi nie do mnie należy.

SCENA IX.

Ciż sami — Anielcia.

Anielcia.

Pani dzwoniła?

Lecoincheux.

Proszę powiedzieć Brygadierowi, ażeby natychmiast przyszedł tutaj z dwoma ludźmi.

Anielcia (do siebie.)

Jezus Marja! **(Chce odejść.)**

Pani Perard (półgłosem.)

Pan ośmielasz się w moim domu... (Głośno) Anielciu, zakazuję ci słuchać rozkazów pana prokuratora.

Anielcia (wraca się.)

Co się tu dzieje?

Lecoincheux.

W imieniu prawa idź i czyń co ja ci rozkazałem.

Anielcia (chce odejść.)

Dobrze panie.

Pani Perard.

Oddalę cię natychmiast ze służby, jeżeli to uczynisz.

Anielcia (wraca się.)

Dobrze pani.

Lecoincheux.

Rozkażę cię uwięzić, jeżeli nie wykonasz mojego polecenia.

Anielcia (krzycząc.)

Aaa! Matko Przenajwiętsza! (odchodzi.)

SCENA X.

Lecoincheux — Pani Perard — później Brygadier i dwóch żandarmów.

Pani Perard.

Tego już zawiele mój panie. Oddaję klucz lecz pamiętaj o tem, że jeżeli otworzysz te drzwi, wszystko między nami zerwane. Od mojego przyszłego męża wymagam bezwarunkowego zaufania, gdzie tego nie ma, przyszłe pożycie jest niemożliwem.

Lecoincheux.

Łaskawa pani, zapewniam cię, że człowiek ten niegodnym jest twojej opieki i wkrótce żałować jej będziesz. Czy wiesz pani, w jakich zamiarach wtargnął do twojego domu?

Pani Perard.

Być może że zamiary jego nagany godne są jednak do przebaczenia, gdyż obecnie opłakuje swoją lekkomyślność.

Lecoincheux (z ironją.)

On? Pani wierzysz w skruchę tego mordercy? Ah! te kobiety, te kobiety!

Pani Perard.

On! mordercą! utraciłeś zmysły prokuratorze. — Młody, dobrze wychowany człowiek jak on, niezdolny jest do czynów tak hańbiących.

Lecoincheux.

Ah! te kobiety, te kobiety!

Brygadier (wchodzi w towarzystwie dwóch żandarmów.)

Stawiamy się na rozkaz pana prokuratora.

Lecoincheux.

Miej się na baczności Brygadierze. Corbillon jest w tym pokoju. **(Do pani Perard.)** Przesłucham tego złoczyńcę w obecności pani. Czy uwierzysz wówczas moim słowom?

Pani Perard (odchodzi w głąb sceny.)

Nie!

Lecoincheux (na stronie.)

Pożałowania godne zaślepienie. **(Zbliża się do drzwi na lewo.)** A więc do dzieła!

Brygadier.

Panie prokuratorze, on podobno jest uzbrojonym.

Lecoincheux.

Czuwaj nad panią, ja spełnię mój obowiązek. **(Otwiera drzwi)**, W imieniu prawa, Corbillon, jesteś aresztowany! **(Zdziwiony)** Jan?

Ciż sami — Jan.

Jan.

A tak — to ja.

Pani Perard.

Co? **(odetchnąwszy swobodnie.)** Ah!

Lecoincheux.

On nie był tam sam. **(chce iść do pokoju)**

Jan.

Niech się pan nie trudzi, już go nie ma.

Lecoincheux.

Kogo? kogo?

(Brygadier z rewolwerem w ręku **wchodzi** do pokoju na lewo.)

Jan.

Narzeczonego naszej pani.

Pani Perard (z oburzeniem.)

Janie!

Lecoincheux (tak samo równocześnie z Panią

Perard.)

Nikczemny sługo!

Jan.

To djabeł nie człowiek. Życie dla niego to bagatela. Kiedy usłyszał pana prokuratora rozmawiającego z panią, załamał ręce ot tak: **(naśladuje go komicznie)** i zawołał: "Nie! ta kobieta nie może być zkampa... zkomputo... aha — skompromitowaną, raczej śmierć w tej rzece." Wtedy ja do niego: "Ależ panie zastanów się , woda bystra, a przytem mur ma dwadzieścia stóp wysokości." A on do mnie: "Głupcze!" a jakże, powiedział do mnie "głupcze." "Dobra sława tej kobiety jest mi droższą, aniżeli moje opłakane życie!" — I fait — skoczył do rzeki.

Brygadier (wychodząc z pokoju na lewo.)

Melduję panie prokuratorze, znaleziono tylko ten surdut. **(Na znak prokuratora kładzie surdut na poręczy krzesła.)**

Pani Perard (na stronie.)

A mój Boże!

Jan.

Jeżeli się z nim kiedy zobaczę, przeproszę biedaka.

Lecoincheux.

Za co?

Jan.

Podejrzewałem go, że się do mojej Anielci umizga, ale teraz mam już dowody...

Lecoincheux.

Jakie dowody?

Jan (wyciąga notatkę Alfreda z kieszeni.)

Ta książeczka. Prosił ażebym ją pani oddał.

(Lecoincheux chce mu odebrać notatkę.)

Jan (z komicznym ruchem wstrzymuje jego zamiar.)

Przepraszam panie — nie panu. Pani... "Jeżeli umrę! — zawołał — "oddaj tę książeczkę twojej pani."

(Lecoincheux powtórnie chce mu odebrać notatkę.)

Jan (jak wyżej.)

"Twojej pani" — panie prokuratorze — "powiedz, że dał ją człowiek, ktrego ostatniem westchnieniem było jej imię!"

Pani Perard (wyciąga rękę, aby odebrać książeczkę.)

Biedny młodzieniec!

Lecoincheux.

Wybacz pani, ale ten corpus delicti należy do mnie. (Odbiera notatkę.)

Pani Perard.

Sądzę, że po tym czynie mniemany twój złoczyńca zasługuje na cześć naszą.

Lecoincheux.

Mordercą jest — powtarzam, łaskawa pani.

Jan.

On mordercą! To być nie może, darował mi dwadzieścia franków.

Lecoincheux.

W imieniu prawa oddaj te pieniądze.

Jan (oddaje pieniądze z niechęcią.)

Oddać? Ha! niech i tak będzie.

Lecoincheux.

Wstydź się, tak skromny i poczciwy chłopak przyjmuje podarki od takiego Corbillona.

Jan.

Cooo? To jest Corbillon! Jezus! Marja! Ten łotr, który zabił nauczyciela, dwóch plebanów, starą kobietę, stróża nocnego i tego

biednego młodego malarza. Ten potwór ośmiela się dawać mi dwadzieścia franków na to, ażeby mi je odebrano. Poczekaj hultaju! Panie prokuratorze, ja wiem dobrze, gdzie ten rozbójnik wypłynął... pokażę panu...

Lecoincheux (do żandarmów.)

Siadać na konie i w pogoń za tym zbrodniarzem. Jeden z was zabierze na siodło tego chłopaka... Brygadierze, proszę mi przyprowadzić pokojówkę Anielcię.

Pani Perard (głośno.)

Wstrzymajcie się! (Pocichu do pana Lecoincheux.) Prokuratorze, nie czyń tego. Pan nie znasz człowieka, którego tak prześladujesz, ja znam go dobrze, widziałam go, rozmawiałam z nim i przysięgam ci, że jesteś w błędzie. On nie jest złoczyńcą!

Lecoincheux (po cichu.)

Zobaczymy. Chwile są drogie, łaskawa pani. (Głośno do ludzi.) Zrozumiano? natychmiast wykonać moje rozkazy! (Brygadier i żandarmi oddają znaki honorowe prokuratorowi i odchodzą szybko z Janem.)

SCENA XII.

Lecoincheux — Pani Perard.

Lecoincheux.

To Corbillon, zaręczam ci droga pani. Oto notatka jego ofiary ostatniej. Czytaj pani początkowe litery A. D. — Alfred Ducamp. To jest może jedyny majątek, jaki nam pozostawił oprócz obrazów ten młody, pełen talentu artysta — to chluba naszej ojczyzny. Ze skruchą wyznaję, że pierwszy raz słyszę o tej znakomitości, lecz wszystkie dzienniki w ten sposób wyrażają się o śmierci tego malarza.

Pani Perard.

Te dowody nie przekonają mnie nigdy, gdyż jakieś tajemne uczucie powiada mi, że się nie mylę. Pańskie postępowanie jest niedoprzebaczenia.

Lecoincheux.

Wybacz, łaskawa pani, lecz moje obowiązki...

Pani Perard.

Przypuśćmy, że ten młody człowiek jest przestępcą, jakkolwiek ja stanowczo w to nie

wierzę, to pan przez szacunek i miłość dla mnie nie powinieneś ścigać i prześladować biedaka.

Lecoincheux.

Na miłość Boga! czego pani wymagasz odemnie?

Pani Perard.

Moje serce mówi, że on jest niewinnym.

Lecoincheux.

Łaskawa pani, nie dobry to sędzia — serce, popełnia błędy bardzo często.

Pani Perard.

W tym wypadku moje się nie myli. W kilku minutach rozmowy naszej wzbudził we mnie uczucia, które niepojętą rozkoszą napełniają duszę i zyskał całą moją przychylność, na którą pan obecnie już liczyć nie możesz. Sądzę, że mnie zrozumiałeś, panie prokuratorze. (Odchodzi głównemi drzwiami.)

SCENA XIII.

Lecoincheux — później Brygadier i Anielcia.

Lecoincheux.

Biedna, pożałowania godna kobieta. Nastąpi chwila, w której wdzięczność twoja bę-

dzie dla mnie dozgonną, z rozkoszą rzucisz się w moje objęcia, gdy cię przekonam, że postępowanie moje wobec tego niepoprawnego złoczyńcy jest słuszne, na odwiecznych prawach ludzkości i pewnych podstawach oparte... A! Anielcia... Ta dziewczyna umiejętnie badana, udzieli mi wiele ważnych szczegółów w tej sprawie.

Anielcia (wchodzi z Brygadierem pod rękę patrząc zalotnie na niego.)

Dziękuję ci panie Brygadierze. (**kłania się.**)

Lecoincheux (daje znak Brygadierowi, ażeby usiadł na przodzie sceny — do Anielci.)

Niech świadek siada.

(Brygadier zatrzymuje się w głębi.)

Anielcia (siada z przestrachem.)

Czego pan prokurator sobie życzy?

Lecoincheux (poważnie i surowo.)

Wysoki sąd ma cię w podejrzeniu, że udzieliłaś schronienie w tym pawilonie niebezpiecznemu mordercy.

Anielcia.

Co? ten przystojny młodzieniec!

Lecoincheux.

Nazywa się Corbillon.

Anielcia (z przerażeniem.)

Matko Boża! ktoby to pomyślał. To nie moja wina, takich zbrodniarzy powinni na czole naznaczyć.

Lecoincheux.

Niech świadek patrzy mi prosto w oczy. Czy złoczyńca ten nie żądał czego od ciebie?

Anielcia.

Nie, panie prokuratorze. (**Płacząc.**) Ah, mój Boże! ja tego człowieka tak lubiałam, tak mu byłam przychylną, tak wierzyłam w jego poczciwość. (**płacze rzewnie.**) O mój Boże, mój Boże!

Lecoincheux.

Uspokój się moje dziecię.

Anielcia.

Ani mi przez głowę nie przeszło, że to Corbillon, dałam mu nawet ostatnią jego zbrodnię opisaną w "Dzienniku Lyońskim" do przeczytania.

Lecoincheux (zapisuje jej słowa w książeczce.)

Jak się zachował, przeczytawszy ten dziennik?

Anielcia.

Ten łotr śmiał się z całego gardła, tańczył jak szalony, śpiewał i zawołał: "Niech żyje Corbillon!"

Lecoincheux (kiwa głową niedowierzająco.)

Upominam świadka, ażeby prawdę mówił, w przeciwnym razie karanym będzie. Powiedział jak się nazywa?

Anielcia.

Filip Roquet.

Lecoincheux (zapisuje.)

Aha!... W jaki sposób zapoznaliście się?

Anielcia.

Ofiarował mi sto franków, jeżeli mu ten pawilon wynajmę na dwa dni i... mieszkał tutaj trzy tygodnie. W dzień patrzał się przez to okno, a w nocy chodził po ogrodzie, szczęśliwy nad miarę widząc koniuszek sukni naszej pani.

Lecoincheux (do Brygadiera.)

Łotr badał widocznie w ogrodzie miejsce

dzieła przyszłej zbrodni (**do Anielci.**) Czy świadek ma więcej co do powiedzenia?

Anielcia.

Nie wiele. Kiedy powiedziałam mu, że panowie żandarmi przyjechali i szukają jakiegoś człowieka, odpowiedział: "niech sobie szukają", a kiedym mówiła nazwisko pana prokuratora, opuścił talerz i zawołał: "ten prokurator życie mi odbierze."

Lecoincheux (uradowany.)

Święta prawda.

Anielcia.

A potem powiedział do mnie: "żegnam cię Anielo". Ten łotr, ten rozbójnik! (**płacze**) Teraz wszystko przepadło, moja reputacya, moja służba. Pan prokurator mnie świadkiem przezywa... O ja nieszczęśliwa!

Lecoincheux (który poprzednio nakazywał jej milczenie.)

Dobrze, dobrze.

Brygadier (który podczas opowiadania Anielci zaglądał przez okno i wyszedł szybko głównemi drzwiami, woła za sceną.(

Panie prokuratorze, panie prokuratorze!

Lecoincheux.
Co się stało?

Brygadier (jak wyżej.)
Schwytano mordercę! **(Ukazując się w głównych drzwiach.)** Mamy ptaszka. **(znika.)**

Lecoincheux (uradowany.)
Ah!

Anielcia.
Bogu najwyższemu dzięki!

Lecoincheux.
Niech świadek zaczeka, aż sąd zażąda dalszych zeznań **(po cichu)** i popatrzy, gdzie pani teraz się znajduje i co robi.

(Hałas i szamotanie za sceną.)

Anielcia (do Alfreda, którego dwaj żandarmi gwałtownie wprowadzają.)
A ty rozbójniku! opryszku! **(odchodzi.)**

SCENA XIV.

Alfred — Jan — Brygadier i dwóch żandarmów z karabinami w rękach.)

Jan (z grabiami w ręku.)
Panie prokuratorze, to ja schwytałem tego ptaszka.

Alfred (bez surduta.)

Ej, do djabła, puszczajcie mnie, nie potrzebuję waszej opieki, nie jestem pjany, żebyście mnie prowadzili. **(Na znak pana Lecoincheux żandarmi ustępują w głąb sceny.)** Czy mam przyjemność mówić z panem Lecoincheux? **(Ubierą surdut leżący na krześle.)**

Lecoincheux (z godnością.)

Tak jest.

Alfred.

W takim razie zapytuję pana, jakiem prawem prześladujesz mnie i żądam zadość uczynienia.

Lecoincheux (poważnie.)

My żądamy zadośćuczynienia sprawiedliwości ludzkiej, a nie ty, mój panie. Zrozumiano?

Alfred.

A do djabła, tego już za wiele! Nadużywasz mojej cierpliwości! Park jest za drzwiami, świadkami będą ci panowie. **(Wskazuje żandarmów.)** A zatem służę! **(chce odejść.)**

SCENA XV.

Ciż sami — Anielcia — Pani Perard.

(Anielcia na początku ostatniej sceny ukazała się w drzwiach głównych i dała znak pani Perard, która podczas ostatnich słów Alfreda wchodzi.)

Pani Perard.

Pojedynek u mnie? (Do Alfreda, który wzruszony patrzy na nią.) Zaklinam cię panie!

Alfred.

Pani!

Lecoincheux (w charakterze sędziego śledczego.)

Proszę o ciszę... Odpowiadaj. (Surowo) Imię i nazwisko?

Alfred.

Bardzo ważne powody zmuszają mnie do zamilczenia mojego nazwiska.

Pani Perard.

Nie pojmuję pana, człowiek honorowy obawiasz się je wymienić? (siada.)

Alfred (z wielką uprzejmością.)

Wybacz droga pani. Moje imię chwilowo nie należy do mnie. Ono jest z powodów bardzo ważnych, które później wymienię, że się tak wyrażę, zastawione. (Wesoło.) Tak, za okrągłą sumę dwudziestu czterech tysięcy franków.

Lecoincheux (surowo.)

Oskarżony, proszę mi powiedzieć, gdzie przebywał od dnia pierwszego lipca?

Pani Perard.

Prokuratorze — skończ to śmieszne i bezowocowne przesłuchanie. Pan Roquet nie myśli odpowiadać na twoje zapytania. Zaręczam ci, że jest niewinnym.

Lecoincheux.

Na miłość Boga! co pani czynisz?

Alfred (z uczuciem.)

O droga pani, dziękuję ci za tyle szlachetnego zaufania, ono cię nie łudzi.

Lecoincheux (półgłosem.)

Brygadierze, nie dozwalaj mówić oskarżonemu z publicznością.

(Brygadier przedziela Alfreda od pani Perard.)

Lecoincheux (zbliża się do Alfreda.)

Czy oskarżony zna to pismo?

Alfred.

Tak jest panie, to moje pismo. Cóż dalej?

Lecoincheux.

Co dalej? To zeznanie wystarcza wysokiemu sądowi... — Filipie Roquet! W roku 1849 nazwałeś się, mając lat 18, Croauemiche, w latach 1856 i 1858 Pouff-en-balle, przed osiemnastoma miesiącami zostałeś skazany na dziesięć lat ciężkich robót w domu poprawy, zkąd wkrótce umknąłeś, a teraz nareszcie dostałeś się w ręce sprawiedliwości, która raz na zawsze położy kres twoim zbrodniczym czynom.

Alfred (wesoło do pani Perard.)

Podług tego aktu oskarżenia jestem dziwnem zjawiskiem natury. Na dwa lata przed mojem urodzeniem miałem lat ośmnaście i nazywałem się Croquemiche. To okropne! to niepojęte!

Lecoincheux.

Niech oskarżony nie ubliża wysokiemu sądowi, idąc tą drogą, pogorsza swoją sprawę, a mnie nie wyprowadzi w pole. Ludzie tobie podobni umieją znakomicie przekształcać swoją powierzchowność. **(Tonem rozkazującym dając znak Brygadierowi.)** Zdejm perukę złoczyńcy!

(Brygadier bierze Alfreda za włosy).....
Alfred (usuwając się z pod rąk Brygadiera.)

Eeee do milion kroćset... Tego już za wiele! Co u licha! czy ja tu jestem oskarżonym, a pan sędzią?

Lecoincheux.

Tak jest.

Alfred.

W takim razie, proszę mi powiedzieć, o co jestem oskarżonym?

Lecoincheux.

Jesteś obwinionym, że dnia pierwszego lipca zamordowałeś sławnego, przez cały świat opłakiwanego malarza — Alfreda Ducamp.

Alfred (wybuchając śmiechem.)

Ha! ha! ha! — czy tak? A więc pan z polecenia wysokiego sądu przebywasz w tym domu. A mój Boże! dla czego od razu nie powiedziałeś mi o tem. Bóg świadkiem moim, nie miałem zamiaru ubliżać władzom sprawiedliwości.

Lecoincheux.

Obwiniony! czy ma co do powiedzenia przeciw aktowi oskarżenia.

Alfred.

Ja? — W dwóch słowach wyjaśnię całą sprawę. Ja jestem... **(Wstrzymuje się, do siebie.)** Nie, nie powiem. Moja wyprzedaż obrazów nie przyjdzie do skutku. **(Głośno.)** Jestem w całem tego słowa znaczeniu niewinnym człowiekiem, nie zamordowałem nikogo i wkrótce udowodnię panu, lecz nim to nastąpi, proszę nie odcinaj mi głowy, mógłbyś tak strasznego wyroku żałować po niewczasie. Jestem niewinnym, przysięgam ci **(wskazuje na panią Perard)** na blask tych oczów czarownych, które z takiem zaufaniem patrzą na mnie.

(Lecoincheux znudzony i niezadowolony kiwa głową.)

Pani Perard (do pana Lecoincheux.)

Czy zeznanie to nie jest dla pana dostatecznem?

Lecoincheux (staje za krzesłem i przemawia jak prokurator z trybuny sądowej.)

Corbillon, w tej chwili odwołuje się na świadectwo biednej i niedoświadczonej dziewczyny. Ona zeznała, że za jej pośrednictwem ukrywałeś się w tak zacnym i szanownym domu: biedna ta dziewczyna zeznała wysokiemu sądowi, że datkiem pieniężnym sprowadziłeś ją z prawej drogi obowiązków, na której kroczyła... Hm, hm...

Anielcia i Jan (wzruszeni zanoszą się od płaczu.)

Au — au — au — au...

Brygadier (nakazuje milczenie.)

Cichooo! pst! pst!

Lecoincheux (jak wyżej.)

A tutaj twoje własnoręczne zeznanie. Ono opiewa: "Zamordowałem Alfreda Ducamp..."

Panowie przysięgli! patrzcie! tak stoi napisane, ręka złoczyńcy nie zadrżała nawet podpisując ten wyrok śmierci na siebie samego. Panowie rozważcie, w jakiej to chwili ten człowiek zbrodniczą ręką zagasił wschodzącą gwiazdę na firmamencie sztuki. Panowie! oto w chwili, kiedy kraj cały, Europa, co mówię Europa! świat cały z uwielbieniem i zachwytem spoglądał na młodego artystę. Panowie! najlepszem świadectwem prawdziwości słów moich jest to, że obrazy tego artysty sprzedane wczoraj na licytacyi, przyniosły sto dwadzieścia osiem tysięcy franków dochodu.

Alfred (z radością.)

Co słyszę?!

Lecoincheux.

Tak jest, ogólną sumę sto dwudziestu ośmiu tysięcy franków po odtrąceniu kosztów urządzenia wystawy.

Alfred.

A mój dobry, zacny panie Lecoincheux, w takim razie mój sen śmiertelny znika, nadszedł więc dzień zmartwychwstania — ja żyję! Krótko mówiąc — jestem Alfred Ducamp!

Pani Perard (chwieje się prawie omdlała ze wzruszenia.)

Moje serce mnie nie zawiodło.

(Anielcia zbliża się do niej.)

Alfred (upada na kolana przed panią Perard.)

O droga pani, teraz już może Alfred Ducamp przed całym światem powtórzyć to, co Filip Roquet obawiał się wyznać: Kocham cię pani!

Lecoincheux (rozkazująco.)

Brygadierze, nie pozwalaj oskarżonemu rozmawiać z publicznością.

Alfred (podnosząc się szybko.)

Co?... Jeszcze oskarżonym jestem?

Lecoincheux.

Corbillon! ty śmiesz przywłaszczać sobie nazwisko biednej ofiary?

Alfred (zniecierpliwiony.)

Oto mój paszport i dowody. (**Oddaje mu papiery.)**

Lecoincheux.

Świadectwo, paszport Alfreda Ducamp.

To nie są dowody, że ty jesteś tym wielkim nieśmiertelnym artystą.

Alfred.

Wielkim, nieśmiertelnym, zbyt wiele zaszczytu dla mnie, lecz co do artysty — oto proszę, moje dowody. **(Biegnie do stołu, wyjmuje blok** i **oddaje go panu Lecoincheux.)**

Lecoincheux.

Co widzę! Zachwycający, znakomicie zrobiony portret pani Perard.

Alfred (zbliża się do pani Perard, która powstała, bierze ją za ręce i patrząc z uwielbieniem, mówi.)

Miłość prowadziła mą ręką.

Lecoincheux (półgłosem.)

Panie Brygadierze.

Brygadier.

Panie prokuratorze.

(Lecoincheux daje mu znak, ażeby się oddalił, oddaje obraz Alfredowi, który go wręcza

pani Perard. — Brygadier, Jan, Anielcia i zandarmi wychodzą drzwiami głównemi.)

Lecoincheux (na stronie.)

Zbłaźniłem się djabelnie. **(Głośno.)** Wybacz droga pani, że uwiedziony zbytnią gorliwością moich obowiązków, nadużyłem gościnności w twoim domu, w którym, sądzę, od tej chwili obecność moja jest zbyteczną. **(Chce odejść.)**

Pani Perard.

Mylisz się kochany prokuratorze. Jesteśmy teraz tak szczęśliwi, że obecność takiego przyjaciela, jak pan, jest nam zawsze miłą i drogą. **(Do Alfreda).** Nieprawdaż?

Alfred.

Tak jest... Panie prokuratorze, z takiem niekłamanem szczęściem wyrażałeś się o mnie, że wdzięcznością przejęty, proszę, racz przyjąć ten skromny utwór mego talentu "in effigie", jak panowie mówicie, **(wręcza mu portret)** lecz pod tym tylko warunkiem, **(do**

pani Perard) że czarowny oryginał od tej chwili zostanie moim na wieki. Czy zgadzasz się pani?

Pani Perard (podaje mu rękę.

Zupełnie!

(Zasłona spada.)

KONIEC.

REKWIZYTA.

(Prawa i lewa strona od widzów.)

Troje drzwi z kluczami — meble skromne — sofka do spania — stół z szufladą, w której portret bez oprawy — pled — torba podróżna—dwie świece do połowy spalone — dzwonki — lustro stołowe i grzebień — firanki u okien — obrazy — książki.

Anielcia: obrus — półmisek z kuropatwami— sześć talerzy (jeden do stłuczenia) — trzy serwety — dwa widelce — dwa noże — gazeta wypisana — dzbanek na wodę — koszyk (śniadanie dla Alfreda.)

Alfred: notyska z ołówkiem — pieniądze złote — paszport i papiery.

Brygadier: rewolwer — dwa arkusze papieru wypisane.

Pani Perard: bukiecik do boku.

Lecoincheux: laska.

Jan: pieniądz złoty — notyska Alfreda z ołówkiem — grabie.

Za sceną: dwa pewne wystrzały — surdut Alfreda.